



Stefan Żeromski - Ludzi bezdomni, część 6.

Judym marzy o nauczycielce, ale nie zdradza swych uczuć. Na razie. Pewno razu spotyka nauczycielkę idąc do pacjentów. Joanna wyznaje, że czasem widywała go w Warszawie. Judym prosi ją, by poczekała na niego. Niestety wizyty przedłużają się do wieczora i Judym jest pewny, że Joanny nie będzie. Myli się.

Poszedł szybko tą drogą. Byłby biegł pędem, byłby zresztą całkiem, do licha, zaniedbał chorych. Wstrzymywał go tylko przesąd, że ona tam czeka. Gdyby nie spełnił... Ta pewność sprawiała mu rozkosz bezbrzeżną. Czuł, że jest to już zbliżenie, coś jakby schadzka, jakby umówiony czas radości wspólnej, a zarazem przesądnie cieszył się, że szczęście samo przyszło, że go nie wołał ani wypraszał.

Chciał załatwić się z chorymi co tchu, ale jak na złość przed każdą chatą, do której wchodził, zgromadzały się baby z dziećmi, chłopci z okaleczonymi palcami... Musiał ich badać i opatrywać. Był już prawie zmierzch, gdy wreszcie wybiegł ze wsi i rozpalonym wzrokiem szukał panny Joanny. Były chwile, że tracił władzę nad sobą.

- Odeszła... - szeptał połykając łzy jak dziecko.

Zobaczył ją wówczas dopiero, gdy blisko podszedł do wzgórza. Siedziała na ziemi między ogromnymi jałowcami.

- Chodźmy nie tędy łąką, bo już mgła się ściela i wilgoć... - mówił zbliżając się do niej.

- A którądy?

- Można przejść górą, wprost przez pola, a stamtąd brzegiem łązińskiego lasu.

- No, dobrze, tylko musimy się bardzo spieszyć, bo już noc prawie.

Weszli na szczyt urwiska i znaleźli się w polu otoczonym z trzech stron lasem. Z dwu stron był to bór liściasty, z trzeciej - sosnowy. Słońce padało na milczącą ścianę drzew, złocąc nieruchome kępy grabów i brzoź barwami tak żywymi, że oko chwyciło dokładne kształty liści bardzo dalekich. Za parowem, z którego wyszli, w nieskończonym oddaleniu, u kresu pól mieniących się od zboża, słońce zachodziło. Poziome jego promienie leżały na jasnych drogach, na szybach wód, zwykle skrytych, na bezbarwnych powierzchniach domostw wieśniaczych Figury idących, Judyma i panny Joasi, rzucały dwa cienie, jak gdyby dwa niezmierne widma ich bytów, które przed nimi idą, łączą

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

się, zbliżają i odsuwają od siebie. Purpurawożłocisty blask przedmiotów trwał krótko. Tarcza słoneczna wlała się w ziemię i utonęła. Wówczas daleki gaj liściasty przysgał. Zaczął oddalać się, oddalać, odchodzić...

Judym wpatrywał się w tę okolicę i doznał niewytłumaczonego uczucia. Był już tam nieraz, to prawda, ale zdało mu się, że już podobne uczucie przeżył w tym samym miejscu.

Już nigdyś, nigdyś...

To jest miejsce, do którego szedł przez całe swoje długie, tułaczne życie.

„Dlaczegoż to tak? - marzył wpatrując się w tę dziwną polanę. - Dlaczegoż to tak?”

I oto przez chwilę, przez mgnienie żrenicy, gościło w jego wiedzeniu coś niby odpowiedzi, tak jakby dźwięk słowa, które wiatr przyniósł z oddali, ale natychmiast z ucha wyrwał i rozwiął.

Część tego pola, jakby wzgardzonego przez ludzi, była zasiana. Obok ciągnęła się niwa zorana i zawleczona, co było widokiem niezwykłym o tej porze roku. Ta ziemia była jeszcze ciepła, pulchna i miękka. Nie więziła nóg, jak piasek na wydmie, lecz je ogrzewała delikatną głębią swoją. Stopy panny Joanny, obute w pantofle, zupełnie ginęły w roli. Obydwoje nie zwracali na ten szczegół uwagi, ale o nim dobrze wiedzieli.

Z szarej gleby zaczęła się dźwigać w górę jej barwa, zaczęła wchłaniać połyskujące przed chwilą kolory lasu i stać dokoła, daleko i blisko, zmrok cichy,

zmrok ciepły, zmrok wonny.

- Nie powiedziałem wtedy - rzekł Judym - dlaczego pani zwróciła na mnie uwagę, gdy jechaliśmy tramwajem w stronę ulicy Chłodnej... Otóż mnie się zdaje, że wiem.

- Pan to wie?

- Tak, wiem.

- Bardzo jestem ciekawa.

- Pani musiała wówczas po prostu przeczuć...

- Co przeczuć?

- Wszystko, co ma nastąpić.

- Cóż takiego?

- Że to ja właśnie będę mężem twoim.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

Panna Joanna nie okazała zdziwienia. Szła w spokoju. Błada jej twarz wydawała się uśpioną. Judym nachylił się ku niej.

- Czy aby dobrze, czy z rozwagą pan to czyni? - mówiła cichym, głębokim głosem. - Niech pan dobrze nad tym pomyśli...

- Już wszystko przemyślałem.

To twarde oznajmienie istoty rzeczy nie wyrażało, ale dźwięk jego był tak decydujący, że panna Joasia nic nie odrzekła.

Judym teraz dopiero uczył, jak bezgranicznie jej pragnął. Wszystko zginęło mu z oczu. Mrok wdarł się do głębi duszy i wszystko w niej zgasił. Zdawało się, że opór miękkiej, głębokiej ziemi, w której nogi brodziły, nie ma końca, że ciągnie się setki godzin. Szary zmierzch, to pożądliwe rzekanie się światła, sprawiało dziką rozkosz. Był to niewiadomy żywioł, który zdawał się rozdymać w jakiś płomień i poprzedzać tę świętą, boską, tajemną noc, jak krzyk wesoły wołający w szerokiej pustce nad ziemią.

Prawą ręką Judym objął swą „żonę” i lewe ramię jej uczył na swej piersi, a głowę tuż przy policzku. Schylił się i zanurzył usta w bujne, wzburzone, czarne włosy dziewicze, owiane czymś pachnącym...

Łzy płynęły z jego oczu, łzy szczęścia bez granic, które zamknięte jest w sobie i którego już się nie doświadcza po wtórze.

Wzdrygnęli się, gdy stopy ich uczyły grunt twardy na skraju lasu, ale nie zwolnili kroku. W gąszczu sosen stała już ciemność jak czarny marmur, którą kiedy niekiedy niby złota żyłka przecinał lecący robaczek świętojański. Wzrok ich spostrzegał te złote nici i omijając świadomość umieszczał piękny, nikły ich półblask na wieczne czasy w pamięci jak drogocenny skarb życia.

Było tak cicho, że słyszeć się dawał jakiś odległy, odległy szmer wody, gdzieś sączący się z upustu.

Pannie Joannie wydało się, że ten głos coś mówi, że to on woła...

Podniosła głowę, żeby usłyszeć... Wtedy uczyła na swych wargach niby rozżarzone węgle. Szczęście jak ciepła krew wpłynęło do jej serca falą powolną. Słyszała jakieś pytania, słowa ciche, święte, spod serca. W ustach swych wyrazów znaleźć nie mogła. Mówiła pocałunkami o głębokim szczęściu swym, o dobrowolnej ofierze, którą witała...

Miłość do Joanny dodaje Judymowi sił w działalności społecznej. W czasie kłótni wrzuca administratora Cisów do stawu. Administrator kazał spuszczać szlam do rzeki, z której wodę do picia brali mieszkańcy. Przez ten szlam na febrę chorują robotnicy.

Judym dyrektora nazywa starym osłem. Wieczorem dostaje od tego osła wypowiedzenie z pracy.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl